

Magazyn Stowarzyszenia Miłośników Gór
i Sportów Górskich

ISSN 1429-6489

Jeti

Nr 2/4 Kwiecień 98 Cena 1 zł



W numerze:

**Wywiad Arkadiusza
Łukowa
z wybitnym himalaistą
Andrzejem Machnikiem**



www.kwopole.pl

Almatur

Opole Sp. z o.o.

Biuro Podróży
„ALMATUR-OPOLE”

Pl. Kopernika 15

45-040 Opole

tel. 077 / 54 21 20

fax 077 / 53 77 36

E-mail: almatur-opole@op.onet.pl

Internet: www.almatur.com.pl

- Praga, Budapeszt, Wiedeń - wycieczki weekendowe, autokar, hotele, wyżywienie, bogaty program.
- Dla studentów praca w USA - „WORK & TRAVEL USA”. Dla uczniów roczna nauka w szkole średniej w USA.
- Kolonie i obozy młodzieżowe: Zakopane, Węgry - Eger, Balaton, Hiszpania, Grecja, Włochy
- Obozy jeździeckie, spływy kajakowe, obozy rowerowe. Oferta specjalna - „Wakacje na tratwie”!
- Kursy j. angielskiego w Anglii i j. niemieckiego w Niemczech dla dzieci, młodzieży i dorosłych.
- Międzynarodowe, zniżkowe legitymacje dla uczniów, studentów i nauczycieli z całorocznym ubezpieczeniem.
- Najtańsze bilety lotnicze i promowe. Przewozy autokarowe. Wynajem autokarów na wycieczki krajowe i zagraniczne.
- Specjalna oferta dla zakładów pracy. Krajowe i zagraniczne wczasy, kolonie i obozy młodzieżowe. Wysyłamy specjalny, bezpłatny katalog. Duże zniżki dla grup.
- Skandynawia, Holandia, Portugalia - Hiszpania. Wycieczki objazdowe - hotele, autokary, wyżywienie, bogaty program.
- Londyn - wycieczki, autokar, prom, bogaty program. Przewozy do Wielkiej Brytanii.
- Paryż i Paryż Zamki nad Loarą - autokar LUX, hotel, pokoje z WC, bogaty program.
- Zakopane, Karpacz, Jarnołtówek - najtańsze zielone szkoły (od 25 zł/dzień), wycieczki szkolne i zakładowe, kolonie i obozy.
- Włochy - wczasy, hotel, autokar i dojazd własny, wyżywienie, cena: 985 zł.
- Włochy, Hiszpania, Chorwacja - apartamenty, mieszkania, letniskowe, bungalowy.
- Turcja i Grecja - wycieczki objazdowe - samolot + autokar, wyżywienie, bogaty program, ubezpieczenie.
- Wczasy w uzdrowiskach - Hajduszoboszlo, Pieszczany - gorące źródła - autokar lub dojazd własny.
- Specjalna oferta dla studentów: Hiszpania, Chorwacja, Włochy, Grecja, Turcja i Tunezja.
- Wczasy w Łądku Zdroju - pokoje 2 osobowe z łazienkami, wyżywienie. Dowolna liczba dni pobytu.

ZAPRASZAMY PO BEZPŁATNY KATALOG NASZYCH OFERT



www.kwopole.pl

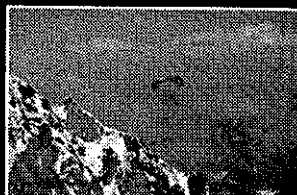
Od redakcji

Tym razem zamiast od redakcji zamieszczam pełną listę firm i osób prywatnych, które przekazały Stowarzyszeniu "JETI" pieniądze na budowę i rozbudowę ściany wspinaczkowej w PSP nr 11:

Biuro turystyczne "PALM-SERVICE",
URZĄD MIASTA OPOLA,
Agencja Reklamowa "OLENDER-PRESS",
firma "ECOPLAN",
firma komputerowa "ATABAJT",
hurtownia "VABANK",
hurtownia AGD "BO-STA",
firma "PROMAS",
firma "LABTAR",
sklep sportowy "OLIMPIJCZYK",
PTTK Oddział Opole,
Ała Wujec-Kaczmarek, Rafał Stanisławski,
Adam Kowzan, Tomek Chodor, Radek Mazur,
Tomek Klim, Paweł Wyrwa, Tomek Pużak,
Krzysiek Martuś, Jurek Ziaja, Marcin Sokolowski,
Romek Nowak, Janusz Buhl, Damian Fras,
Andrzej Galański, Grzesiek Bugła, Rysiek
Dobosz, Robert Miśkowiec, Bartek Muszyński.

W imieniu wszystkich członków "JETI" wielkie dzięki.

A.T.



Jeti

MAGAZYN STOWARZYSZENIA
MIŁOŚNIKÓW GÓR
I SPORTÓW GÓRSKICH

NR 2/4/98
Kwiecień 1998 r., Cena zł. 1,-

Wydawca:

Stowarzyszenie Miłośników Gór
i Sportów Górskich „Jeti”
45-037 Opole, ul. Sienkiewicza 28/5

Redakcja:

Arkadiusz Tabisz (red. naczelny),
Ireneusz Hebda, Rafał Olander
(reklama),

Adres redakcji:

45-037 Opole, ul. Sienkiewicza 28/5
tel. (077) 544-136

<http://friko.onet.pl/op/kmar>

Skład komputerowy:

Pracownia Komputerowa "Virtual" sc.
45-075 Opole, ul. Krakowska 24
tel 542-171 w. 50, 0602 109712

Druk:

Zakład Poligraficzny NOT
45-056 Opole, ul. Katowicka 50
tel. 53-74-91 w. 40

Nakład: 300 egz.

ISSN 1429-6489

UWAGA:

Sporty propagowane na łamach „Jeti” mogą być niebezpieczne i stwarzać zagrożenie dla życia oraz zdrowia. Redakcja nie bierze odpowiedzialności za ewentualne wypadki przy uprawianiu propagowanych w piśmie form aktywności.

W numerze:



Puchar Polski juniorów	4
Kilimandżaro	5
Wywiad z A. Machnikiem	6
Opolanie w Dolomitach	9
Z życia PTTK	12
Wspinanie lodowe	15
Metody alpinistyczne wykorzystywane w ochronie drzew	18
Yeti i inni	21

Na okładce:

Widok ze ścieżki prowadzącej na Mt. Meru (Tanzania)

- fot. Krzysztof Lisowski

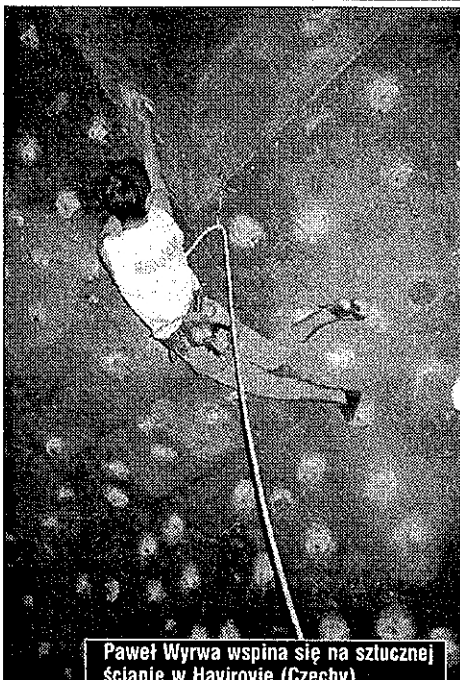
PUCHAR POLSKI JUNIORÓW

Finał Pucharu Polski Juniorów roku 1997 odbył się w Tarnowie. Ostatnia odsłona pucharu rozegrała się na ścianie wspinaczkowej MKS Tarnowia.

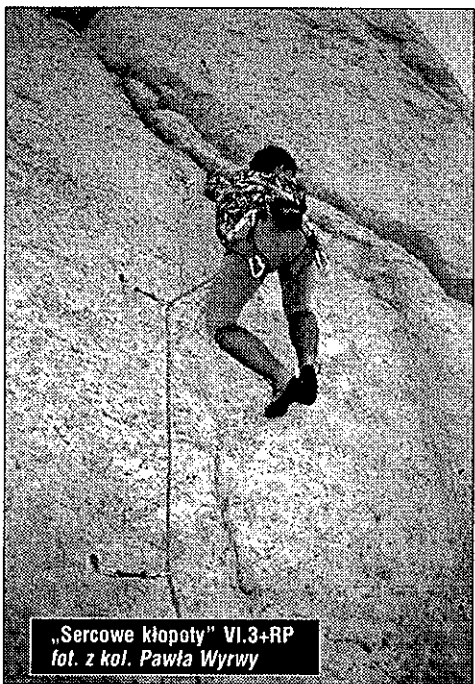
Jak zwykle jedynym reprezentantem Opola był Paweł Wyrwa. No cóż, miejmy nadzieję, że doczekamy się jego młodych naśladowców, tym bardziej, iż w nowym roku Paweł przechodzi do seniorów, a to już nie są przelewki.

Zawody odbywały się w kilku kategoriach wiekowych. Najstarsza grupa wiekowa chłopców od 17-19 lat nie była zbyt liczna. Na starcie stawilo się około piętnastu zawodników.

Eliminacje odbywały się na drodze o trudnościach oscylujących około V.3+. Do finału zakwalifiko-



**Paweł Wyrwa wspina się na sztucznej ścianie w Havirovie (Czechy)
fot. z kol. Pawła Wyrwy**



**„Sercowe kłopoty” VI.3+RP
fot. z kol. Pawła Wyrwy**

wało się szczęściu zawodników. W tej grupie był Paweł Wyrwa.

Droga finałowa forsowała największe przewieszenie tarnowskiej ściany (po lewej stronie) i wyraźnie preferowała przygotowanie atletyczne. Paweł ostatecznie uplasował się na piątej pozycji, co w klasyfikacji łącznej pucharu dało mu prawdopodobnie także piąte miejsce (100% wiadomości dopiero po oficjalnym ogłoszeniu wyników).

Oczywistym zwyciężcą był Adam Liana KW Zakopane, który w niczym nie zaskóconym, majestatycznym tempie zakończył jako jedyny drogę finałową.

Klasyfikacja końcowa zawodów:

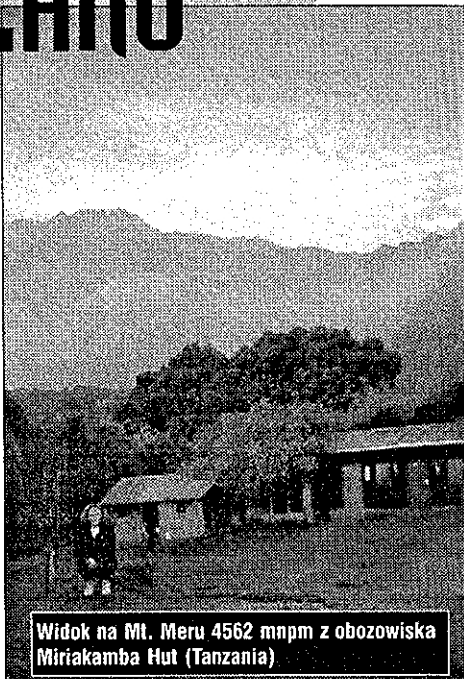
1. Adam Liana *KW Zakopane
ALPIN-SPORT Zakopane*
2. Łukasz Pulnik *MKS Tarnowia
Eurochem BGD*
3. Paweł Wojtas *Korona-Kraków*
- ...
5. Paweł Wyrwa *Opole*



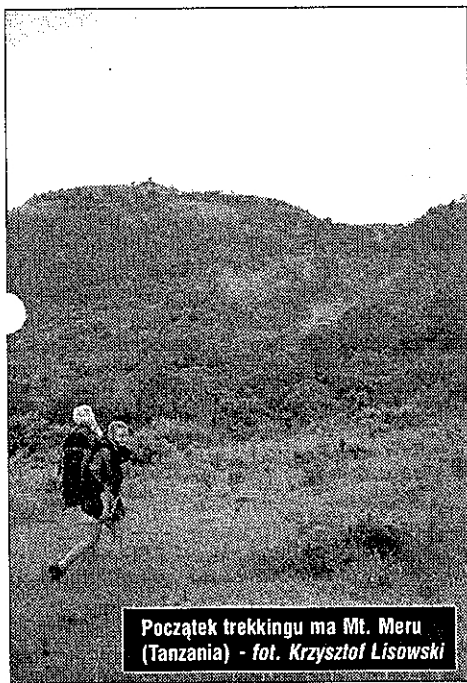
KILIMANDŻARO

Pełnym sukcesem zakończyła się wyprawa KILIMANDŻARO`98 prowadzona przez Krzysztofa Lisowskiego (Opole). Rankiem 28 lutego br. około godziny 7⁰⁰, na najwyższym szczycie Afryki stanęła szóstka uczestników Beata Ilczuk, Adam Kutny, Krzysztof Lisowski, Jarosław Nowacki, Dorota Rutkowska, Grzegorz Wójcik.

Przebieg wejścia obfitował w wiele zaskakujących wydarzeń. Osiągnięcie szczytu "wisiąło na włosku". Obszer-na relacja z tej wyprawy w następnym numerze.



Widok na Mt. Meru 4562 mnpm z obozowiska Miriakamba Hut (Tanzania)



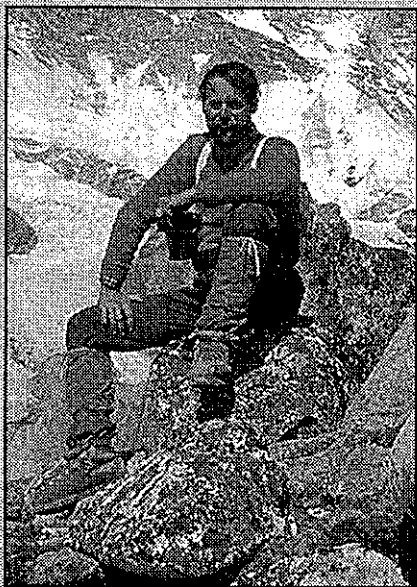
Początek trekkingu na Mt. Meru (Tanzania) - fot. Krzysztof Lisowski

*Na ścianie wspinaczkowej
dowiecie się wszystkiego
o najbliższych planach
Stowarzyszenia „Jeti”.
Zapraszamy do współpracy*

**Godziny otwarcia
ściany wspinaczkowej:**

Poniedziałek	18.00 - 21.00
Wtorek	20.00 - 23.00
Środa	nieczynne
Czwartek	20.15 - 23.00
Piątek	20.00 - 23.00
Sobota	12.30 - 15.30
Niedziela	11.00 - 14.00

A kto to jest Andrzej Machnik...



Andrzej Machnik

Urodzony 14.VII.1953 r. w Gliwicach, jest z zawodu geografem. Ponadto taternikiem, alpinistą, kierownikiem wypraw himalajskich, pracownikiem wysokościowym, instruktorem alpinizmu oraz pisarzem i publicystą. Podobno w Polsce jest niewiele osób, które znabyły Tatry lepiej niż on.

Andrzej Machnik jest autorem następujących książek o tematyce górskiej:

Na zachodniej ścianie Makalu
Na kolanach do koryta
Zimą na trzeci szczyt świata
Dwa zimowe szturmy
Optikon taternicki
Kamienne lato
Na podbój Ameryki

Jego książki, mimo że wielokrotnie są bardzo kontrowersyjne, wciąż znajdują coraz szersze grono czytelników.

Krzysztof Wielicki zapytany czy zgadza się z Twoją wypowiedzią "... No cóż, alpinistom cynizmem dorównują zapewne tylko chirurdzy, grabarze i pracownicy koszt-nic..." (patrz wywiad z Krzysztofem Wielickim) odpowiada: "W takich wypadkach powtarzam słowa Andrzeja Zawady: A kto to jest Andrzej Machnik? Czy Ty, pytany o Krzysztofa Wielickiego, odpowiedział byś podobnie?

Nie, ponieważ ja wiem, kto to jest Krzysztof Wielicki, oczywiście do pewnego stopnia, na tyle, na ile można poznać drugiego człowieka. Nigdy bym się nie wygłupiał ze stwierdzeniem, że Wielicki nigdy nic nie zrobił, bo ja go nie lubię. Uważam, że tego typu odpowiedź to jest czysty wygłup i megalomania. Tak samo Zawada z tego, co mi mówiono, udaje że nigdy nie było żadnego sporu o Kangczendzongę. Jaka Kangczendzonga, jaki Machnik, on w ogóle się ze mną nie spotkał. Sprawa organizacji tej wyprawy przypominała walkę pancerników w drugiej wojnie światowej, pociski się sypały zza horyzontu i jeden drugiego nie widział, ale radar dobrze kierował całą artylerią. I Zawada teraz udaje głupiego, albowiem tę walkę przegrał, zaangażował się w sprawę, która była podejrzana od samego początku. Dostał wy-cisk i jest mu bardzo głupio wracać do tych wszystkich wątków. Jest takie amerykańskie powiedzenie "Nie kopie się zdechłego psa". Skoro ci faceci z uporem mania-ka usiłują dyskredytować to, co ja zrobiłem, to znaczy, że im to w jakiś sposób stoi kością w gardle. Bo po prostu nie usiłuje się plantować na chama chociażby takimi wypowiedziami, jak zacytowałeś, kogoś, kto naprawdę nic nie znaczy. Mnie nie chodzi o to, że ja coś zrobiłem, bo ja mam to wszystko gdzieś, ale znaczy to dla tych ludzi, którzy nie potrafią nic sensownego wypowiedzieć poza złośliwościami i ewidentnymi kłamstwami, tak jak to zrobił Kukuczka w tej swojej książce "W szczytach świata". Ja zresztą bym go tam nigdy nie wysłał w swojej książce "Zimą na trzeci szczyt świata", gdyby on pierwszy nie rozwarł japy i nie zaprezentował tam steku kłamstw i przekręceń, na które nie sposób było nie odpowiedzieć. Pisząc tę książkę nie miałem zamiaru dokopać Kukuczce czy Wielickiemu, ale jak przeczytałem w międzyczasie co "Kuku" tam wybzdził, to mnie normalnie szlag trafił, odwrócenie kota ogonem.

Krzysztof Wielicki mówi również, że w środowisku alpinistów panuje ostracyzm co do Twojej osoby.

Widzę, że Wielicki przypisuje sobie wszechobecność w środowisku. Znam bardzo wielu ludzi starszych, którzy chyba nie podzielają tej tezy, jeśli miałbym wymieniać, to prościej byłoby wymieniać tych, z którymi nie utrzymuję

muję kontaktu: Andrzeja Zawadę i Krzysztofa Wielickiego. Jeśli oni chcą się wypowiadać za całą resztę, proszę bardzo. Jeżeli oni stanowią całe starsze pokolenie to teza, Wielickiego jest prawdziwa, ale nie sądzę, by tak było. Nawiązując do pierwszego, wypowiedzi Wielickiego, jakoby Zawada mógł się tak o mnie wyrażać, śmiem zauważyć, że nawet jeśli chodzi o organizowanie wypraw, to Zawada nie osiągnął pułapu super mistrza. Ze jego wyprawy pod względem organizacyjnym z pominięciem K-2 są łatwe. Co to za sztuka podejść pod Everest, Cho Oyu czy Nanga Parbat nawet w zimie, tym bardziej jeśli się w tych rejonach po wielokroć bywało. Rejony uczęszczane, znane. Transport jest żadnym problemem, po prostu tam się wie wszystko. Natomiast wyprawy zimowe, które ja robiłem pod tym względem były trudne, np. wyprawa na Kangczendzongę. Nam powiedziano, gdzie wy w ogóle idziecie przecież, wy tam nie dojdziecie. Na starcie nie mieliśmy dewiz, cała ilość dolarów, które mieliśmy na tę wyprawę - tak na dzień dobry - to było 2000 dolarów. "Zawadka" organizując wyprawę na K-2 miał 1.000.000 dolarów. Ta różnica wynika stąd, że Zawada był od lat ustawiony jako "bonzo" w tym środowisku. On po prostu przychodził do PZA czy GKKFIS-u (Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu - przyp. red) i żądał pieniędzy. Tak samo zrobił i w tym roku, zażądał pieniędzy od PZA (Polski Związek Alpinizmu - przyp. red) a resztę ma w dupie, on uważa, że jego wyprawa jest sztandarowa, wszyscy oczywiście czapki z głów i dają mu. Oczywiście można powiedzieć, że on sobie te stosunki wyrobił, ale z drugiej strony pod względem organizacyjnym jest to chodzenie na całkowitą łatwiznę. Później wiadomo, co się dzieje, jest to po wielokroć wszystko przeplacane i wiadomo, że wyprawy Zawady to jest burdel na kółkach, to nie jeden może zaświadczyć. Gdyby ten facet musiał działać rzeczywiście w trudnych warunkach, umiałby dupiać. Takie jest moje prywatne zdanie i jeżeli oni chcą mówić o swoim mistrzostwie, to są lekko stuknięci w mózdek. Warto się czasami zastanowić nad tym, co się mówi, jeśli się uważa, że się zrobiło takie super hity.

Wiele miejsc w swojej książce "Zimą na trzeci szczyt świata", będącej swoistym podsumowaniem wyprawy na Kangczendzongę, poświęca organizacji i taktyce. Są tam szczegółowe tabele, wyliczenia, wykresy. Przypomnijmy, że ta wyprawa wywołała wiele kontrowersji nie tylko w środowisku górnictwa, które stanowiło trzon wyprawy, ale i w innych środowiskach. Zarzucano Ci błędy organizacyjne ale starano się również obarczyć Twoją osobę odpowiedzialnością za śmierć Andrzeja Czoka, który zginął właśnie na tej wyprawie. Czytając Twoją książkę można odnieść wrażenie, iż starasz się powiedzieć: Patrzcie, wszystko było w porządku, oto dowody. Czy nie pisałeś tej książki w odpowiedzi na zarzuty?

Tylko po części. Bez względu no to, czy oni mnie oskarżali, czy nie ja, bym to i tak przedstawił. A to z tej prostej przyczyny, że już od dawna uważałem, iż polskie wyprawy to burdel na kółkach. Od kiedy zacząłem na nie jeździć, stwierdziłem, że jest to groch z kapustą, na którym większość naszych działań polega na psuciu sobie nawzajem roboty. Bez sensu, bez głowy, podobny burdel jak w całej Polsce, znikąd się to nie bierze i najważniejsza rzecz to zlikwidować ten burdel. W związku z tym, jeśli ktoś ma trochę smykałki do tego, jeśli potrafi zauważyć, jak to powinno się robić, to powinien innym to przedstawić. Tymczasem w naszych książkach nic takiego nie znajdziesz. Jak ja się brałem za organizowanie wyprawy na Kangczendzongę, to mi nasze książki w ogóle nic nie dały, są to tylko wzajemne peany, jakieś zestawienia szczytów pod względem wysokości i kto je zdobył, ale żadnych konkretnych. Poza tym nie można się było niczego dowiedzieć od ludzi, którzy te wyprawy organizowali, nawet od Bilczewskiego, z którym jeździłem. Wszystko jak kamień w wodę, wyważanie otwartych drzwi. Ja korzystałem z książek Boningtona, część obserwacji, które mi posłużyły do wyliczeń zużycia żywności, czynilem podczas zimowej wyprawy na Dhaulagiri. Wracając do tłumaczenia, to właśnie tak przy okazji, bo ci, którzy mnie atakowali, nie wiedzieli w ogóle, co atakują. Im nie chodziło ani o Czoka, bo przecież trup się gęsto siał na polskich wyprawach i to, że na kolejnej kogoś wciągnęło, to nie jest powód do ataku. Szukano po prostu kija, żeby psa uderzyć. Za to, że się nie dostosowałem do żadnych święconych układów, które panowały od lat w tym środowisku, nie należałem, do żadnej siłwy do żadnej kliky, a nad to wybrałem sobie cel, który im wszystkim stał kółkiem w gardle.

Andrzej Zawada po raz kolejny zorganizował wyprawę na Nanga Parbat, zdaje się, że ta wyprawa pod względem organizacyjnym przypomina pozostałe jego wyprawy. Jaki model organizacyjny sprawdziła się najlepiej przy organizacji dzisiejszych wypraw?

Rzecz polega na tym, że styl musi być dobrany do celu. Nie można sztywno narzucić, że my mówimy tak i koniec, to jest pierwszy błąd, który jest popełniany. Jednym z zarzutów przeciwko wyprawie na Kangczendzongę było to, że ona była duża, ale ona nie działała jak duża wyprawa w tym sensie, że kierownik wszystkim komenderuje. Styl był dostosowany do warunków, w których to było grane, ja po prostu dbałem, żeby to się nie wylało z pewnych ram, z naszych możliwości zaopatrzeniowych i w ogóle. Uczestnicy wyprawy sami ustalali, co oni chcą robić, ja tylko korygowałem te plany, właśnie pod względem możliwości zaopatrzeniowych. Nie usiłowałem niczym dyrygować tak detalicznie, że ty tu, a ty tu. To jest coś, czego Zawada w ogóle nie rozumie, on rzuczał takie hasła jak to kierownik nie może de-

cydować. Bez względu może, ale tymi swoimi decyzjami, mówiąc owsz gródek tylko s... całą sprawę, jeśli nie odda inicjatywy komu trzeba. Wyprawa nawet duża nie musi przedstawiać pożerającego się molocha. Kierownik nie tylko nie musi być dyrygentem i satrapą, ale nawet nie powinien nim być. Moją ideą było tak zorganizować wyprawę, żeby ona sama się kręciła, kiedy wszystko jest prawidłowo ustawione, wyprawa sama się toczy, dopiero przy pewnych zakłóceniach powinien interweniować kierownik.

Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte to "złoty wiek" polskiego alpinizmu. Z Polski wyruszało w różne góry świata około 100 wypraw rocznie. Można zatem sądzić, że kondycja polskiego alpinizmu i himalaizmu była dobra. Jak ten problem widzisz dzisiaj?

Himalaizmu to nie widzę w ogóle. Po prostu nastąpiło coś takiego jak "dziura pokoleniowa", co między innymi zawdzięczamy takim facetom jak Zawada, którzy wszystko garnęli pod siebie. Cała gra w okresie tego "złotego wieku" polegała na tym, żeby jeździła ekipa ciągle tych samych ludzi. Co podwyższało z razu na raz kryteria dla innych. Kilka lat temu zorganizowano wyprawę na któryś z siedmiotysięczników i okazało się, że jej uczestnicy nie mają pojęcia ani o aklimatyzacji, ani czym to się je. To było właśnie to następne pokolenie, które zostało odcięte od himalaizmu.

Kiedyś Śląsk a zwłaszcza Gliwice i Katowice należały do czołówek nie tylko polskiego, ale i światowego alpinizmu. Dziś sprawy mają się chyba trochę inaczej?

Dziś wszystkich zalała wolność. Klub katowicki zniknął praktycznie, bo tam za mało było gór a za dużo biznesu. Skoro klub przestał być centrum biznesu, to się okazało, że nikomu nie jest potrzebny. Z klubem gliwickim stało się coś innego. U nas z tymi biznesami zawsze było cienko, bo nikt jakoś nie miał do tego smykałki, ale z drugiej strony góry im nie wywietrzały z głowy. Poza tym ścianka klubowa ciągle nagania chętnych. W związku z tym klub jako jeden z niewielu w Polsce jest nadal klubem. Tutaj i wspinają i spotykają się, czego w innych środowiskach już nie ma. Gdzie indziej się wspinają, ale klubów już nie ma. Oni tak jakby przestali rozumieć, że klub to nie jest ani szmalotłucznia, ani miejsce, które musi mieć jakiś sztyl, to równie dobrze może być punkt umówiony w mieście, gdzie się mogą spotkać ludzie, których pasjonuje jedna rzecz.

Można też poruszyć problem wyjazdu w Himalaje. Dziś agencje trekkingowe moją wykupione większość pozwoleń na szczyty ośmiotysięczne, więc dostęp do tych gór jest utrudniony.

To wynika chyba z tego, że u nas powstał mit, że wyprawę w Himalaje jest potwornie trudno zorganizować. Rzecz polega na tym, że PZA przez całe lata usiłowało

ten mit jeszcze nadymać, uważając, że tylko największe "king-kongi w stylu Zawady czy Wielickiego są w stanie to ugrzyć, a reszta hołoty to w ogóle nie powinna. Zorganizowanie wyprawy w Himalaje nie jest wcale takie trudne.

Czołowi Twoi oponenci Andrzej Zawada i Krzysztof Wielicki nadal są aktywni. Andrzej Zawada jest obecnie pod Nanga Parbat, natomiast Krzysztof Wielicki będzie zdobywał "Koronę Świata". Włączając telewizor mogę co jakiś czas o nich usłyszeć. Dlaczego nie słyszę o Andrzeju Machniku?

Zajmuję się czymś innym. Moim celem wcale nie jest lupanie ośmiotysięczników tak jak dla tych facetów, w związku z tym robię swoje i wcale się nie przejmuję, co oni robią. Nie wrusza mnie, czy Wielicki wyłomotał już czternaście czy piętnaście ośmiotysięczników i czy Zawada dał ciała po raz kolejny na Nanga Parbat czy nie. To wcale nie znaczy, że nie mam zamiaru pojechać już nigdy w Himalaje. Ja po prostu robię swoje.

Co to znaczy "robię swoje"?

Od pewnego momentu, kiedy uświadomiłem sobie jaki burdel dookoła panuje i jaki jest do tego mój stosunek, zaczęła mnie interesować prakseologia, czyli najogólniej rzecz biorąc, ogólna teoria sprawnego działania. Ale takiej teorii nigdy nie było, Kotarbiński rzucił tylko hasło i stwierdził, że byliby bardzo szczęśliwi, gdyby coś takiego powstało. Ja, zbierając swoje spostrzeżenia i doświadczenia, wykopywałem, jakby to mogło wyglądać. Oprócz tego wspinam się w mniejszych górach.

Czy napisałeś jakąś książkę poświęconą prakseologii?

Dwie. I obydwie czekają na wydanie. Jedna nosi tytuł "Poza czasem i względnością", druga "Na progu teorii ostatecznej".

**Rozmawiał:
Arkadiusz Łuków**

Andrzej Machnik

– jeden z czołowych polskich himalaistów. Obecnie znany bardziej jako autor książek poświęconych tematyce górskiej. "Niewygodny buntownik" – jak o nim mawiano, zorganizował wyprawę, która jeszcze dziś wywołuje kontrowersje. Dowodem na to mogą być oba prezentowane na łamach naszej gazety wywiady. "Walka" o prawo wyjazdu na Kangczendzongę postawiła naprzeciw siebie dwie strony konfliktu. Andrzej Zawada kontra Andrzej Machnik. Wygrał Andrzej Machnik – organizując wyprawę, która do tej pory uchodzi za jedną z najtańszych wypraw himalajskich. W trosce o to, by czytelnik miał możliwość obiektywnej oceny prezentujemy oba wywiady.

Arek Tabisz

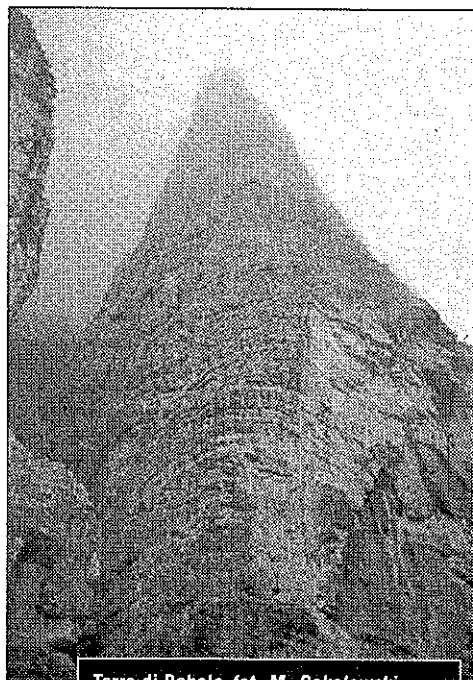
Opolanie w Dolomitach

W sierpniu 1995r. razem z Irkiem Hebda i Marcinem Sokołowskim wspinaliśmy się we włoskich Dolomitach. Przez tydzień przebywaliśmy w rejonie Civetty przechodząc tam pięć dróg, by następnie zaatakować osławioną południową ścianę Marmolaty.

Przed spotkaniem z Marmolatą udaliśmy się pod Civette, która jest dobrym miejscem na „rozwspinianie się”. Na polanie biwakowej za schroniskiem ku naszemu zdziwieniu, zastaliśmy dwudziesto-kilkuosobową grupę krakusów. Wśród nich prym wiedli Jurek Farat - „Bularz” i Jacek Jasiński - „Półkmięć”, partnerzy m.in. Kukuczki, Małczyka czy Kurtyki. Pierwsze rozmowy, na szczęście w rodzimym języku, dotyczyły oczywiście pogody. Nie była najlepsza, ale można było się wspinąć. Razem z Marcinem postanowiliśmy, że naszym celem numer jeden będzie

droga SOLDY.

Jest ona wytyczona na niewielkiej turni „Torre di Babele (2310m.) znajdującej się w masywie Civetty. Rzeczywiście sterzczący 400-metrowy szpikulec kojarzył się z wieżą Babel. Mimo, że była to nasza pierwsza wspólna wspinaczka, okazaliśmy się zgranym zespołem i po 4 godzinach wspinaczki stanęliśmy na szczycie. Wierchołek schowany był już w mgłę. Przed nami wyłoniła się kolejna trudność - odnalezienie stanowiska zjazdowego w deszczu i w mgłę. Jednak po godzinie byliśmy u podstawy ściany - rady Bularza okazały się niemal bezcenne. Tego samego dnia Irek wszedł feratą na wierchołek Civetty (3220m.). Kolejnego dnia pogoda nam również nie sprzyjała. Nie zrażeni, poszliśmy w trójkę na drogę Andricha na Torre Venezia. Gdy staliśmy oszpejeni pod ścianą, jak na złość lunęło, wyplukując nam wspinaczkę z głów. Mokrzy wróciliśmy do namiotów. Straciliśmy jeden dzień. Trzeciego dnia nasze modły zostały wysłuchane. Rano przywitało nas słońce i błę-

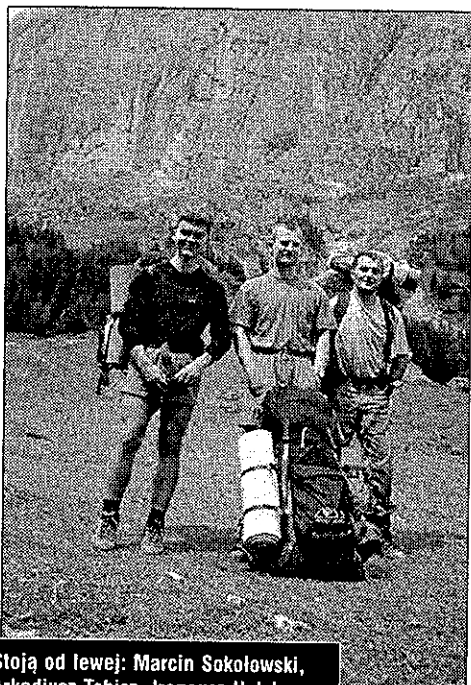


Torre di Babele fot. M. Sokołowski

kitne niebo. Wyszliśmy się wspinać w dwóch zespołach Irek z Bularzem, a Marcin ze mną. Tym razem naszym celem była

droga TISSIEGO

biegnąca na Torre Venezia, przepięknej 600-metrowej skalnej wieży. Trudności drogi polegają na długiej 16 wyciągowej wspinaczce. Zwłaszcza w czasie niepewnej, górskiej pogody. Rozpo-



Stoją od lewej: Marcin Sokółowski, Arkadiusz Tabisz, Ireneusz Hebda. W tle południowa ściana Marmolaty - fot. z archiwum autora

częliśmy wspinaczkę około godziny wcześniej od Irka i Bularza, by uniknąć niepotrzebnych wyciągów w ścianie. W połowie ściany zaczęły się komplikacje. Marcin nie zważając na zaznaczone na schemacie drogi trawers w prawo, wystartował do góry. Zasugerował się rządkiem wbitych tu haków, które okazały się zapychem. Hoś przekleństw które z siebie wyrzucał, a zwłaszcza głośne sapanie, uświadomiły mi że trudności drogi przewyższają V+, które miało tu niby być. „Lecę” - wrzasnął Marcin i zapikował w dół. Odruchowo zablokowałem linę w ósemce i poczułem gwałtowne szarpnięcie. Na szczęście hak wytrzymał i skończyło się na pięciometrowym locie mojego partnera. Na wysokości 400 metrów takie przygody wywołują gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny. „Latali, latali !!!” - zaczął wrzeszczeć na dole Bularz. „Co, co?” - usłyszeliśmy następnie Irka. „Co wy chcecie zrobić, prostowanie do Tissiego” - ponownie zawołał Bularz. Okazało się, że należało zrobić prosty trawers w prawo obchodząc trudne miejsce. Dalej poszło już bez kłopotów. Nasze próby nazwaliśmy w namiocie „variante kretino”. Następnego dnia postanowiliśmy pójść na coś poważnego. Miała to być

droga CARLESSA

na Torre di Valgrande. Biegnie ona 500-metrowym, gigantycznym zacięciem, w którym znajduje się okap o trudności VII+. Gdy do niego doszliśmy, zrozumieliśmy co znaczy włoskie VII+. Mimo, że w skałach pokonywaliśmy dużo większe trudności, nie wiedzieliśmy jak się do niego przystawić. Nie zastanawiając się zbyt wiele, przyazerowaliśmy, czyli skorzystaliśmy z wbitych tu gęsto haków. Drogę zrobiliśmy w niezłym czasie i po 12 godzinach od wyjścia byliśmy z powrotem w namiotach. Irkowi udało się wyciągnąć Bularza ze śpiwora i zrobili razem drogę Dial Pozzo na Torre Venezia. Kolejny dzień był dniem kondycyjnym, więc wybraliśmy krótką

drogę ANDRICHA,

Z której już raz deszcz nas zgonił. Wspinaliśmy się podobnie jak na Tissim w dwóch zespołach. Droga biegnie na Torre Venezia i ma trudności V+. Zrobiliśmy ją w 3,5 godziny, spędzając resztę

dnia na przyjemnym leniuchowaniu. Byliśmy już niezłe rozwspinani, więc postanowiliśmy zatakować coś mocnego, lecz pogoda na szczęście pokrzyżowała nasze plany. Skończyło się na krótkiej

diretissime Torre di Babele.

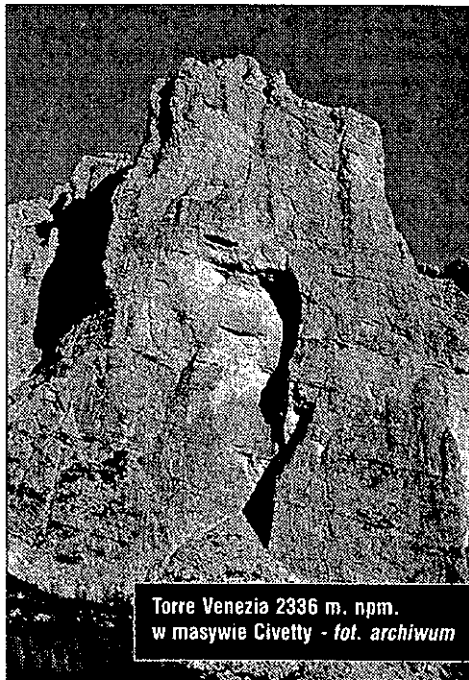
Jest to bardzo ładna szóstkowa droga w wyjątkowo kruchej skale uniemożliwiającej porządną asekurację. Polecił nam ją nieoceniony Bularz. Chyba miał nas dość. Dodatkową atrakcją w ścianie był 4-osobowy włoski zespół leciwych panów, którzy zrzucali nam na zmianę kamienie i własny sprząt. Drogę ku zdziwieniu Bularza skończyliśmy. Wieczorem po naradzie wojennej postanowiliśmy odpocząć dzień nad Adriatykiem, by stamtąd udać się pod Marmolatę. Najwyższy szczyt Dolomitów przywitał nas deszczem. Południowa ściana opada 1000 metrowym urwiskiem, będącym jednym z największych alpejskich zerw. Pod ścianą na taborze nie spotkaliśmy Polaków. Biwakowało tu natomiast wielu Słowaków, dla których Marmolata jest „świętą górą” ze względu na dużą liczbę dróg poprowadzonych tu przez ich rodaków. Postanowiłem z Marcinem następnego dnia zatakować

drogę DON QUIXOTE,

czyli drogę Don Kiszota. Ma ona 950 metrów długości, 20 wyciągów i trudności techniczne VI stopnia. Wyszliśmy wcześniej rano, tak by wyprzedzić szykujących się na nią Słowaków. Jednak okazało się, że uprzedzili nas Włosi, a Słowacy się rozmyślili. Nasi towarzysze okazali się dość wolnym zespołem, także czekaliśmy na

nich na każdym wyciągu, a dodatkowo chyba umówili się, że nas zabiją kamieniami. Co jednak im się nie udało. Włoskie „piątki” i „szóstki” okazały się być godne swojej sławy. W Polsce ostrzegano nas, że droga którą wybraliśmy, ma zanizoną wycenę o jeden stopień, co faktycznie okazało się prawdą. Wolne tempo wspinaczki spowodowane czekaniem na Włochów, niebawem zemściło się. Na ostatnich dwóch wyciągach, będących najtrudniejszymi na całej drodze, nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. Wspinanie w deszczu i gradzie było wątpliwą przyjemnością. Jednak gdy dygocząc z zimna stanęliśmy na szczycie, z uśmiechem podaliśmy sobie dłonie. Przeszliśmy południową ścianę Marmolaty. Pozostał nam jeszcze długi powrót do namiotu. Pomogli nam w tym Włosi, podwożąc nas parę kilometrów samochodem. Irek tego dnia wszedł ferratą na główny wierzchołek Marmolaty - Punta Penia (3343m.).

Niestety deszczowa pogoda i nasze zmęczenie wspinaczką (lub raczej na odwrót), spowodowały, że postanowiliśmy wrócić do kraju. Jednak obiecaliśmy sobie, że pod Marmolatę jeszcze wrócimy.



Torre Venezia 2336 m. n.p.m.
w masywie Civetty - fot. archiwum

Z życia PTTK

- Oddział Opole

W okolicach 1993 roku zaczęliśmy rozmawiać o wyjeździe w Alpy. Kilka sprzyjających okoliczności przyspieszyło nasze decyzje i wytyczyło cel. Sięgając do „przyczyn” należy wymienić Maćka Kurka (dzięki Ci) który był tak miły i uprzejmy, że spotkał się z naszym Kołem PTTK nr 51 na wieczorze przy slajdach, na którym uraczył nas opowieściami znamienitymi. Do tej pory Alpy postrzegałem prawie jak Tatry tylko trochę wyższe. Informacje Maćka, że Tatry to właściwie otoczenie jednej z kilkudziesięciu dolin alpejskich dawało przedsmak bogactwa wyboru celu podróży. Spotkanie z Maćkiem odbyło się około 1991 roku. Rozmowy jesienią 1993 roku zacząłem więc od Niego. Właściwie szybko namierzaliśmy cel - Alpy Walijskie. Cel już był, pozostało jeszcze zorganizowanie wyjazdu. Nikt z Nas nie miał żadnego doświadczenia w lodzie.

Następnym naszym rozmówcą był Krzysiek Lisowski (dzięki), który po „przesłuchaniu” nas zaproponował wstępny program w Alpach Walijskich i w Dolomitach. Urmówiliśmy się też na treningowy wyjazd w Tatry. Niestety w styczniu 1994 roku w terminie, w którym miałem Krzyskowi zgłosić konkretne osoby do wyjazdu okazało się, że zostało nas tylko dwoje Grażyna Krawczyńska i ja. Z przykrością musieliśmy zrezygnować ze współpracy z Krzyskiem.

Równoległe, mniej więcej od połowy grudnia zdarzyły się inne okoliczności. W prasie głośna stała się chodząca w góry „gospodyni domowa” z Łodzi, która weszła na Grand Paradiso o Mont Blanc. Ukazał się też album z opisami i fotografiami czterotysięczników alpejskich. Powodowało to, że decyzja wyjazdu w oparciu o własne siły była coraz bliższa. Po kilku dyskusjach we własnym gronie zdecydowaliśmy się jechać. Nieoceniona okazała się ponownie pomoc Maćka Kurka, który wyposażył nas w mapy oraz popierał w naszej decyzji. Uświadomił nam również, że „gospodyni domowa” była znaną w środowisku taterniczką i jej wyczyn nie był taki prosto z „kuchni”.

Przepraszam, że tak się rozpisalem o etapie wstępnym ale chciałem zachęcić tych, którzy mają różnego rodzaju opory, aby się nie zrażali. Należy jeszcze dodać, że do dnia wyjazdu zmienialiśmy Alpy Walijskie na Alpy Berneńskie a Dolomity na Wysokie Taury. Jednak 28 lipca wyruszyliśmy do Szwajcarii w Alpy Walijskie.

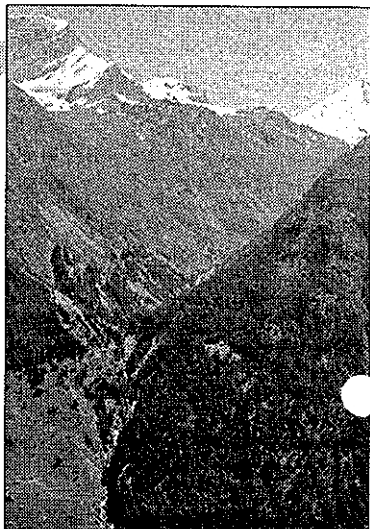
Założenia naszego trampingu to: tanio i dużo. Nie udało się to zrealizować do końca, ale nie było tak źle. Wybraliśmy wariant podróżowania autobusem. Cała impreza miała mieć charakter trampingowy i przy grupie 30 uczestników musiała - a przynajmniej powinna - zadowolić zdecydowaną większość uczestników. Ponieważ nie wszyscy byli zainteresowani ani przygotowani na chodzenie po 3 i 4 - tysięcznikach, musieli mieć możliwość realizowania innych celów.

Wyruszyliśmy 28.07.

Pierwszy etap wyprawy to podróż do Szwajcarii do Tasch koło Zermatt. Przejazd był dość męczący, długi z dwoma noclegami. Pierwszy nocleg był na terenie Czech przy granicy z Niemcami. Umożliwił następnym rankiem dokonanie niezbędnych zakupów w celu przeżycia b. drogiej Szwajcarii

/ podobno /. Drugi nocleg był już na terenie Szwajcarii w bardzo urokliwym zakątku bo w Gruyere. Podróż odbywaliśmy przez całą Szwajcarię bo były poważne obawy o możliwość przejechania naszym Ikarusem podjazdów o nachyleniu 14% czyli przez słynną Furka Pass /2443m/. Mielśmy dzięki temu okazję oglądania prawie całej Szwajcarii. W Gruyere zwiedziliśmy śliczne stare miasto - u stóp zamku - wyglądające jak obrazek oraz wytwornie słynnych szwajcarskich serów.

Camping w Tasch położony u podnóża Mettelhornu (3406m.) osiągnęliśmy po południu. Potwierdziły się nasze informacje odnośnie cen. Rozbijając się patrzyliśmy się na ośnieżone szczyty. Powoli zaczęliśmy poznawać wierzchołek Breithornu /4164m/ i Kleine Matterhorn /3826m/. Wieczorem było niewątpliwie miło.

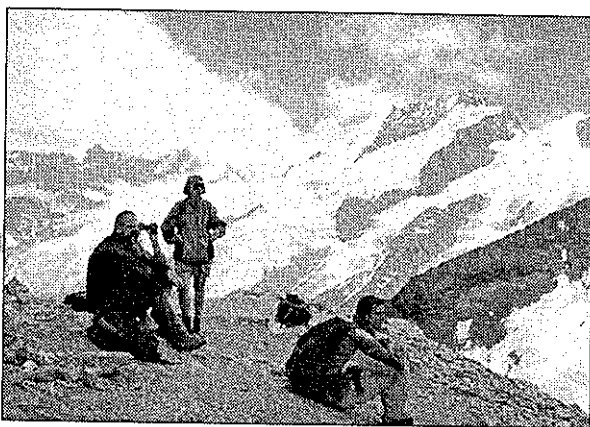


Pierwsze wyjście.

W poniedziałek wyruszyliśmy na pierwszą wycieczkę w Alpy. Potwierdziło się, że najtrudniej jest wejść na szlak. Tracimy około 40 min, żeby znaleźć drogę czy też dróżkę w góry, kręcąc się w okolicy 50 m od drogowskazu. Ale nic to - znaleźliśmy. Tasch leży dość wysoko bo na 1480 m. Pierwszym etapem było dojście do Tasch-Alp. Przewyższenie 1000 m pokonał w dość dobrej formie jak na pierwszy dzień. W dole widać było Tasch i nasz camping. Tasch-Alp to wysokogórska łąka z kilkoma charakterystycznymi domkami i z drogą asfaltowa, którą można tam dojechać, wysoko prawie jak Rysy. Oczywiście długi odpoczynek i lornetowanie lodowca pod Allalinhornem (4027m.) ale tylko jego części bo niestety było chmur. Planowaliśmy podejście do Tasch hut, ale zmieniliśmy plany. Poszliśmy na przełęcz Sattla (2670m.). Było to mozolne godzinne podejście w terenie takim jak w Tatrach Zachodnich tylko wyżej. Mieliśmy nadzieję, że z przełęczy będzie widać Matterhorn, ale niestety z chmur widoczna była tylko podstawa słynnej piramidy. Z przełęczy podeszliśmy jeszcze około 50 m w górę do wielkiego drewnianego krzyża. Zrobiło się już ponad 2700 m. Dla większości była to najwyższa wysokość. Odbił się więc tradycyjni chrzest czyli krótkie klepięcie w wiadome miejsce. Były dziewczyny, więc było miło. Zejście do Tasch było długie, ale dosyć widokowe. Spotkaliśmy po drodze część naszej grupy, która poszła do Zermatt i wracała górami. Chwilę porozmawialiśmy, okazało się, że oni też mieli problemy ze znalezieniem szlaku. Pogoda zaczęła się robić nieciekawa, zaczęła padać deszcz. Po udanych próbach znalezienia skrótów zeszliznęliśmy do Tasch. Było fajnie. Wieczorem tradycyjna impreza, jeszcze na zapasach. Pogoda była jednak dziwna; niebo pełne gwiazd i ciepło. Gdyby to były Tatry to byłoby to oznaka załamania pogody, ale na szczęście to Alpy i następnego dnia była ona / pogodą / jak "druć".

Pierwsze trzytysięczniki.

W planie na wtorek był 3-tysięcznik Oberrothorn / 3415m/ i długa 13-godzinna runda. W małych grupkach wyruszyliśmy o 7 rano. Podchodziliśmy drogą, którą dzień wcześniej schodziliśmy. Po godzinie marszu wreszcie zobaczyliśmy Go, w całej okazałości i ogromie: Matterhorn / 4478m/. Piękny. Poszczególne grupki wędrowców powoli łączyły się ze sobą. Szliśmy wspaniałym trawersem, pod nami była dolina Mattertal a przed nami Matterhorn i Breithorn. Po dalszych kilkunastu minutach marszu wyłoniły się następne szczyty: Pollux/4091m/, Castor/4226m/, Liskamm /4527m/. Gdy doszliśmy do skrzyżowania dróg zdecydowaliśmy się podzielić na dwie grupy. Jedna "ambitniej" poszła granią na niższy 3-tysięcznik Unterrothorn / 3103m/ a druga dnem doliny na przełęcz pod Oberrothornem. Wspinaliśmy się granią mozolnie, w upale. Wyso-



ść nabieraliśmy bardzo powoli. Obserwowaliśmy jak lotniarze przygotowywali się do startów, jak startowali albo nie. Unterrothorn jest szczytem na który można wjechać wyciągami. Dlatego tylu lotniarzy tam było. Na samym szczycie znajdowała się wspaniała restauracja oraz wielka luneta ustawiona na słynną ścianę Matterhornu. Restauracja nas kusiała więc weszliśmy do środka. Schodkami w dół. Też było fajnie. Z Unterrothornu rozlega się wspaniały widok na całą grupę 4-tysięczników z Monte Rosa na czele. Widać było wyciągi orczykowe na lodowcu, niestety nieczynne. Wspaniała widoczność. Po krótkim odpoczynku zeszliznęliśmy na przełęcz i zaczęliśmy się wąską perłą wspinąć na następny szczyt. Mijał nam dużo ludzi, którzy już schodzili z góry. Większość z nich wjeżdżała wyciągiem na Unterrothorn, schodziła na przełęcz i wspiniała się do góry. Cała wycieczka zajmowała 2 godziny. My natomiast mieliśmy w nogach już 5 godzin marszu. Przystawiliśmy więc już coraz częściej, trochę z powodu zmęczenia, wysokości ale też z powodu bajecznych widoków. Po wejściu na grani odsoniłam widok na Dom / 4545 m/. Tuż pod nami były lodowce białe i brudnoszare a nad nimi wierzchołki 4-tysięczników. Było cudownie i spokojnie. Wreszcie jest szczyt. Pierwszy 3-tysięcznik nie tylko dla dziewczyn. Znowu chrzest. Na szczycie było miło. Leżenie, patrzanie. Chyba tak z godzinę byliśmy w górach. Trzeba było pomyśleć jednak o zejściu do Zermatt, bo to prawie 3 godziny zejścia. Schodziliśmy osłonecznioną doliną Findelalp. Oczywiście po drodze było moczenie nóg w jeziorku. W okolicy Stellisee mieliśmy niesamowite spotkanie. Najpierw Jurek dostrzegł świstaka, za chwilę ja, ale innego. Ogrom-

ne, spasionie. W sumie chyba było ich 5. Cała rodzina. Jeden schował się pod kamień, 2 metry od nas. Czekaliśmy na niego dosyć długo, wychylał się od czasu do czasu, zaglądał ale to dla nas było za mało. Przekombinowaliśmy, już się nie pokazał i nie ma zdjęć. Jeszcze kilkadziesiąt minut dzieliło nas od Zermatt. Słynne Zermatt. Czyste, kolorowe, piękne. Był 1 sierpnia. Święto Szwajcarii. Mnóstwo imprez i "westmenów", szpan i sok pomarańczowy. Wszystko to drogie i bogate. Ale nic to. Jest i piwo (dosyć tanie). Trochę się włóczęmy, oglądamy. Wieczorem miał być pokaz sztucznych ogni. Byliśmy jednak trochę zmęczeni. Do Tasch jeszcze 5 km. Poszliśmy. Na camping dotarliśmy po 13 godzinach wędrowania.

Pierwsze samotne spotkanie z Alpami.

Następny dzień miałby być bardziej spokojny. Ale gdzie? No właśnie, chłopaki szli wczoraj do Weishorn-hutte, doszli do lodowca i w czasie powrotu znaleźli dwa piękne jeziora niedaleko campingu. Może więc mała kąpiel? Ja zdecydowałem się na 4-godzinną rundę do Schalenabi na wysokość około 2300m. Pierwsze samotne wyjście w Alpach / moje!. Stroma wspinaczka, początkowo lasem, a więc w miarę chłodno. Szedłem powoli, ale bez odpoczynków. Forma niezła. Dziwne koniki polne (górskie?) uskakiwały ze ścieżki. Jak siedziały to były szare i wyglądały jak u nas, ale przestraszone - odlatywały na czerwonych skrzydłach, które miały między kończynami. Droga cały czas wspięła się do góry, drabinami w skałe, nad dolinę. Po drugiej stronie widać było trasę z pierwszego dnia do Taschalp. Wyglądała interesująco. Po 2 godzinach dotarłem do pięknej górskiej łąki położonej u stóp Weissornu (4506m.) z widokiem w jedną stronę na masyw Monte Rosy, a w drugą na odległe Alpy Berneńskie z Eigerem. Było cicho, pusto, spokojnie. Ogromne, oświetlone wiecznym śniegiem szczyty. Słońce. Miło.

Zejście odbyło się ocienioną doliną Schalikin, do wspaniałych jezior. Kąpiel była cudowna - pływanie z widokiem na Breithorn.

Pierwszy 4 - tysięcznik.

Następnego dnia to już 3 sierpień. Główny cel naszego wyjazdu Breithorn (4164m.) czekał na nas do tego właśnie dnia. Styl naszego wejścia nie był najwyższej klasy „górskiej” gdyż wykorzystaliśmy wszystkie zdobycze techniki jakie tam przygotowano tzn wjechaliśmy wyciągami na Klein Matterhorn na prawie 3800 m. Do tego wyciągu musieliśmy jednak tradycyjnie dojść ponad 7 km.

Ze stacji górnej po wielkim śniegowym polu doszliśmy do Breithornpass (3824m.). Wierzchołek widoczny był doskonale, pogoda była fantastyczna. Dookoła trochę ludzi. Widać było wyraźnie dwie drogi na szczyt. Jedna granią południowo - zachodnią a druga do przełęczy i granią południowo - wschodnią. Pierwsza wg przewodnika oznaczona jako droga normalna PD-, do 45', 1 1/2 godz., 360 m. różnicy wzniesień z Klein Matterhorn. Lodowiec, śnieg, lód. Ubraliśmy raki, wyciągnęliśmy czekany i do góry. Tylko trzech z nas miało sprzęt , żeby pójść tą drogą. Pierwsze kroki to nauka chodzenia w rakach, dopasowanie się do ściany. Raki i czekan trochę to było dziwne. Ale szliśmy krok za krokiem, ostrożnie. Mijaliśmy grupki z przewodnikami, powiązane linami. My - nie. Trochę mieliśmy emocji na lodzie, gdy ściana zrobiła się jakby stroma i śliska. Udało się nam jednak wejść. Jakis Niemiec na szczycie, okazał gdzieś w oddali Mont Blanc. Dookoła góry, szczyty, doliny.

Druga grupa weszła drogą od przełęczy. W sumie na szczycie byliśmy w siódemkę. Jurek, Marek, Sławek, Jurek, Przemek, Maniek, Piotrek. Zrobiliśmy kilka zdjęć. Poczuliśmy się „zdobycami”.

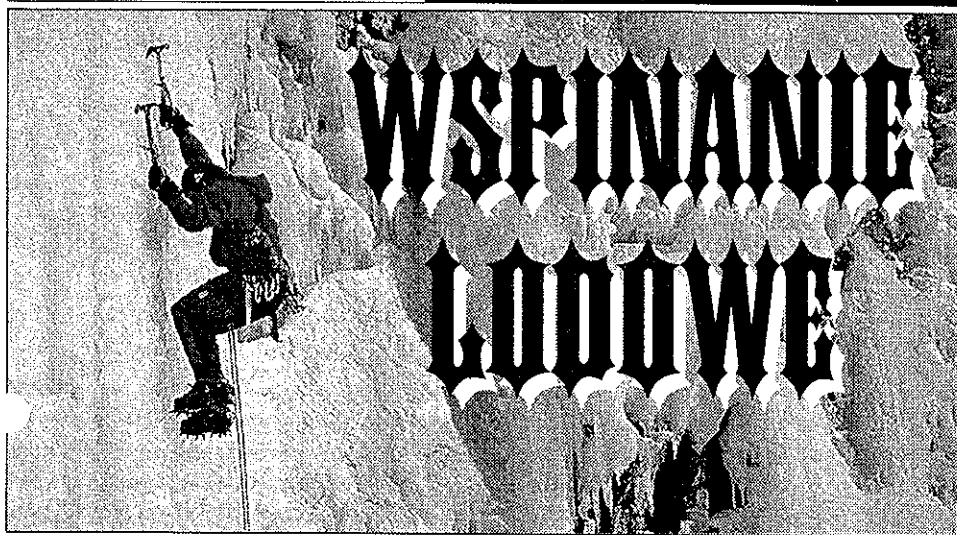
Zejście odbyło się śnieżną granią, dosyć wąską. Po drodze dogoniliśmy Basię i Beatę, które zatrzymały 4 metrowy odcinek lodu na wysokości około 4000m. Trochę pomogliśmy w zejściu wykorzystując nasze raki i szybko zeszliliśmy na przełęcz i do stacji wyciągu. To był fajny dzień.

Ostatni górski spacer.

Ostatni dzień poświęciliśmy na górskie spacery w różne zakątki kwiecistej, podwieszanej doliny Trift(2337m.), u stóp Mettelhornu (3406m.). Ponieważ nasza grupa liczyła około 20 osób chodzących w góry to nasza obecność zaznaczyła się również w innych miejscach. Byliśmy i w Schronisku pod Weishornem (2932m.), i na Mettelhornie (3406m.) i na Gernergrat.

Wieczorem poszliśmy do uroczej knajpki z widokiem na Breithorn na duże kufłowe szwajcarskie piwo.

Następny dzień to pakowanie i przejazd przez Furka Pass (2436m.) czyli prawie tak wysoko jak Rysy. To była jazda, aż się hamulce rozgrzały przy zjeździe w dół. Przejechaliśmy nad jezioro Garda, a potem po jednodniowym odpoczynku, pojechaliśmy w Dolomity. Dojechaliśmy tam dosyć szybko, bo po dwóch latach (z powodu braku miejsc w Cortinie d'Ampezzo), a pozostałą część wyjazdu spędziliśmy nad morzem w okolicy Wenecji. Sjesta, festa i protesta. Grupa górską zmieniała się w grupę wypoczynkową.



Wspinanie lodowe w ostatnich czasach stało się jedną z najbardziej spektakularnych dziedzin alpinizmu. Zamrznięte wodospady, sople i lodowe kolumny, wypchnięte lodem rynny zarówno pionowe jak i przewieszane to tereny działania współczesnych ekstremalistów.

Z racji mojego zainteresowania zimową wspinaczką klasyczną a więc również lodową, chciałbym skrótkowo przedstawić jej rozwój od początków zdobywania wysokich gór aż po czasy dzisiejsze oraz podzielić się spostrzeżeniami w tym temacie.

Każdy, kto kiedykolwiek w swej górskiej działalności nie ograniczał się jedynie do letnich wędrówek i odwiedził góry również zimą, musiał zetknąć się z lodem. Czasem był to zamrznięty strumień szczelnie pokrywający ścieżkę, czasem lodowa kaskada lub pokryty zlodowaciałym śniegiem stok, którego pokonanie wymagało użycia raków i czekana.

Z problemami pokonywania lodowych przeszkód borykali się również pierwsi zdobywcy wysokich gór. Podkute gwoździami buty, prowizoryczne raki i czekany nie pozwalały na zbyt wyszukane techniki wspinaczkowe czyniąc lodowe zbocza i uskoki prawdziwą zmurą pionierów alpinizmu. Dwieście lat temu drewniane drabiny i drągi stanowiły obligatoryjny sprzęt w wyprawach na alpejskie lodowce. Nikt, w tych heroicznych czasach mógł nawet przewidzieć, że skrzętnie omijane lodowe kuluary, rynny i kaskady staną się kiedyś obiektem pożądania wspinaczy a poziom wspinaczki lodowej zostanie wyśrubowany do niewyobrażalnych granic.

Lata dwudzieste naszego wieku to początek nowego podejścia do wspinania w lodzie. Rozpoczyna się era podboju wielkich ścian alpejskich. Ulepszone raki i czekany, zastosowanie lodowych haków a zwłaszcza wzrost umiejętności pozwoliły wspinaczom na coraz bardziej śmiałe przedsięwzięcia. Największe sukcesy odnosili alpinści niemieccy z doskonałym W. Welzenbachem na czele. Jego przejścia północnych ścian Dent d'Herens i Fiescherhornu są najlepszym przykładem stosowania nowatorskich technik wspinania w lodzie. Obok dokonań Welzenbacha i podążającej za nim „awangardy monachijskiej”, należy wspomnieć o przejściach wspinaczy brytyjskich na wschodniej ścianie Mont Blanc. Wytyczone przez nich drogi Sentinelles Rouge, Major czy najtrudniejsza Poire, stały się kanonami lodowego wspinania na kolejne 40 lat.

Kontynuacją trendów zapoczątkowanych przez Welzenbacha są dokonane w latach trzydziestych, pierwsze przejścia lodowo-skalnych północnych ścian Matterhornu, Petit Dru, Grandes Jorasses i alpejskiego symbolu trudności - północnej ściany Eigeru.

Kolejnymi milowymi krokami w rozwoju wspinaczki lodowej są osiągnięcia wspinaczy zachodnioeuropejskich dokonane w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. Północne ściany Aiguille des Pelierins, Courtes, Droites coraz wyżej podnoszą poprzeczkę pokonywanych trudności lodowych.

Lata 60 - te to przede wszystkim trudne lodowe drogi w masywie Mont Blanc, a zwłaszcza 10-dniowe przejście Całunu, kilkusettmetrowej lodowej zerwy w północnej ścianie Grandes Jorasses dokonane przez R. Desmaisona i R. Flemattetego oraz rynnien Filara Narożnego Mont Blanc, a także pierwsze zimowe przejścia północnych ścian Eigeru (zespół T. Hiebelera) i Matterhornu (samotnie W. Bonatti). Podsumowaniem tego okresu jest samotne przejście R. Messnera pn. ściany Droites w zawrotnym czasie 8 godzin (poprzednicy potrzebowali na to kilku dni).

Prawdziwy jednak przełom następuje w latach 70-tych. Techniki wypracowane przez wspinaczy szkockich na miksowych ścianach Ben Nevis, przenoszą wspinaczkę lodową w zupełnie inny, niespotykany dotąd wymiar. Krótkie czekany Terrorordactyl, lekkie raki, śruby lodowe stanowią prawdziwą rewolucję sprzętową. Bezpowrotnie mijają czasy wyrąbywania w lodzie stopni i chwytów lub „haczenia” spionowanych odcinków. Zapoczątkowana zostaje technika „front point” polegająca na wspinaczce przy użyciu ostrzy czekanów i przednich zębów raków nawet w pionowym i przewieszonym lodzie. Wspinacze atakują ściany i kaskady dotąd niedostępne. Pojawia się pojęcie „czystych przejść” bez czynnego wykorzystania haków lub śrub. Wyceny trudnych dotychczas dróg, pokonywanych w tradycyjnym stylu ulegają obniżeniu, a czasy przejść zredukowane z kilku dni do kilku godzin. Nowe ekstremalne drogi lodowe prowadzone są wąskimi rynnami, lodospadami czy wręcz ciągami lodowych sopli, często w słabym i cienkim lodzie przy iluzorycznej asekuracji.

Drogi w szkockich górach, lodowe kuluary alpejskie, przejścia w górach Azji związane z nazwiskami H. MacInnesa (twórca wspomnianego Terrorordactyla), P. Gabarrou (Super Kuluar na Mont Blanc du Tacul), J. Lowe (pn. 1200-metrowa ściana Kwande w Nepalu, Metanoia na Eigerze) i innych oraz ciągły wyścig firm produkujących sprzęt stanowią wizerunek wspinaczki lodowej lat 70-tych i 80-tych.

Ostatnie lata to ciągle podwyższanie trudności przejść lodowych i miksowych. Drogi wytyczone przez ekstremalnych wspinaczy M. Twighta (droga Poza Dobrem i Złem na Aiguille des Pelierins), F. Damilano, R. Jaspera oraz prawdopodobnie najtrudniejsze klasyczne miksowe pasaże Deep Throat i Amphibian Dr. Gadda mają według słów autorów, wyceny porównywalne do trudnych przejść skalnych na poziomie polskiego VI.3-VI.5. A przecież granica tego co możliwe we wspinaczce lodowej jest ciągle przesuwana ...



W Polsce wspinanie lodowe nie rozwijało się tak prężnie jak w Europie Zachodniej. Tatry, podstawowy teren wspinaczkowy w naszym kraju, nawet zimą nie oferują praktycznie dróg czysto lodowych co powodowało niezbyt dobre przygotowanie polskich taterników do wspinania lodowego. Niemniej jednak w latach 30-tych, „złotym okresie” polskiego taternictwa, miały miejsce próby nawiązania kontaktu ze wspinaczkową Europą. Potwierdzeniem tego są przejścia klasycznych dróg alpejskich: ściany Meije w Alpach Delfinatu (W. Birkenmajer, J.A. Szczepański) oraz Sentinelle Rouge (J. Golcz, Z. Korosadowicz, W. Żuławski). Lata 40-te i 50-te przyniosły przejścia pn. ścian Dent d'Herens i Lyskamm (J. Hajdukiewicz i M. Mischke), Petit Dru (Cz. Łapiński i K. Paszucha), Fiescherhornu (J. i H. Hajdukiewiczowie i K. Berbeka) oraz w latach 60-tych przejścia pn. ścian Eigeru, Matterhornu i wreszcie pierwsze zimowe przejście pn. ściany Dent d'Herens (J. Hajdukiewicz i K. Berbeka) nawiązujące do dokonań wspinaczy europejskich.

Lata 70-te i 80-te to wspaniałe sukcesy wspinaczy polskich na lodowych ścianach Alp i Himalajów. Wystarczy wspomnieć kobiece przejścia latem i zimą pn. ściany Matterhornu, powtórzenia trudnych lodowych dróg na Grandess Jorasses, Droites, Mont Blanc du Tacul oraz przejścia lodowej wsch. ściany Dhaulagiri (w stylu alpejskim zespół W. Kurtyki) oraz miksowej zach. ściany Gasherbruma IV (W. Kurtyka i tow.).

Jednak w najtrudniejszych technicznie przejściach lodowo-skalnych „horrorów” Polacy mają raczej nikły udział. Chociaż potwierdzają swoje potencjalne możliwości w tego typu wspinaczkach czego koronnym przykładem jest przejście kilkusettmetrowej kaskady Losar w Nepalu (W. Kurtyka i M. Rysula).



Obecnie wspinanie po lodospadach na terenie naszego kraju nie jest zbyt popularne. Podstawowym problem stanowi niezbyt duża ilość miejsc i formacji, w których zimą tworzyłyby się odpowiednie warunki do uprawiania tego rodzaju działalności. Niemniej jednak można polecić kilka rejonów gdzie miłośnicy lodowej „zabawy” mogą sprawdzić swoje umiejętności.

W polskiej części Tatr obligatoryjnym „lodem” jest niewątpliwie Kular Kurtyki położony na progu Nadspadów nad Morskim Okiem. Trzy wyciągi wspinania (jeden łatwy ok. 60o nachylenia, drugi prawie pionowy i trzeci ok. 70-80o) w połączeniu z krótkim podejściem ze schroniska to prawdziwa przyjemność dla wspinacza. Nieco trudniejszy jest 3 - wyciągowy lodospad w kominie na lewo od Czołówki Kopy Spadowej nad Czarnym Stawem oraz lodospad na wejściu w Ściek na ścianie Kotła Kazalnicy. Łatwe lodospady znajdują się na Żabich Wrótkach.

Sporo ciekawych „lodów” można spotkać w słowackiej części Tatr, są to jednak w wielu przypadkach propozycje dla wspinaczy tolerujących długie podejścia: progi dolin Ciężkiej, Spadowej, Kaczej, Śnieżnej. Nieco bliżej „cywilizowanych” terenów położone są lodospady w

okolicach Białej Wody (raczej nie spodziewać się ich utworzenia w czasie ciepłych zim) i Wielickiej oraz chyba największy i najtrudniejszy lodospad tatrzański tzw. Bočkov ladopad w dolnym piętrze pn. ściany Małego Kieżmarskiego Szczytu, położony ok. 15 min. drogi od schroniska.

Oprócz Tatr rejonami gdzie można uprawiać wspinanie lodowe są Karkonosze. W kotle Małego Stawu znajduje się kilka lodospadów o różnej długości i trudności.

Osobnym problemem jest sprzęt do wspinaczki w lodzie.

Niestety koszty jakie musi ponieść amator lodowego szaleństwa sięgają tysięcy złotych. Należy jednak w tym miejscu zaznaczyć, że warto kupować sprzęt dobrych firm. Unika się w ten sposób wielu perturbacji związanych ze słabą jakością i funkcjonalnością wyposażenia. Byłem kilkakrotnie świadkiem „spreclowania” ostrza czekana i spadnięcia raków. Poza tym dobry sprzęt pozwala delektować się wspinaczką. Dobre „dziabły” idealnie wyważone nie wymagają użycia dużej siły przy wbijaniu ostrza w лёд, dobrze osadzone trzymają bardzo

dobrze, wygięty tzonek chroni palce przed stłuczeniem co ma duże znaczenie przy liczbie kilkuset „dziabnięć” podczas przejścia średniej długości drogi. Z kolei sztywne raki, dobrze dopasowane, z zapieczętowanymi typy „speed” (łatwość zakładania i ściągania), pozwalają bez zbytecznego zmęczenia mięśni nóg, pokonywać wiele set metrów stromego lodu lub śniegu jedynie przy użyciu przednich zębów. Najlepiej używać sztywnych raków w połączeniu z plastikowymi butami np. popularne Koflachs, chociaż niektórzy lodowi ekstremaliści preferują buty skórzane. Z renomowanych firm produkujących podstawowy sprzęt do lodu czyli raki i czekany, można polecić Grivela, Simonda i Charleta. Oczywiście dziabły, raki i buty to nie wszystko, jeszcze goretexy, kask, karabinki, haki, śruby, lina... razem 3-4 tys. zł. Ale, nie ma nic za darmo!

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę potencjalnym „lodolamaczom” (starzy wyjadacze o tym na pewno wiedzą) na małą ale bardzo istotną sprawę. Mianowicie, gdy już kupicie cudowny sprzęt, odwalicie kilometry podejścia może się okazać, że wysniony przez was lodospad, tej zimy... NIE ISTNIEJE! Tak po prostu nie utworzył się, roztopił lub rozpadł. Nie nie przejmujcie się, tak czasem bywa, a uroki lodowego wspinania poznacie zapewne jeszcze nie raz.



METODY ALPINISTYCZNE WYKORZYSTYWANE W PIELĘGNACJI I OCHRONIE DRZEW

Wraz ze wzrostem świadomości społecznej, wzrosła potrzeba ochrony starych, okazałych egzemplarzy drzew, będących świadkami wydarzeń historycznych, świadczących o kulturze i obyczajach danego regionu. Nieprzeciętne umiejętności alpinistów od zawsze wykorzystywane były w różnego rodzaju pracach wysokościowych, często niebezpiecznych i skomplikowanych. Do takich nietypowych działań alpinistów należy ratowanie starych drzew, pomoc w przeżyciu drzewom w trudnych warunkach miejskich.

W latach 70-tych została opracowana specjalna metoda alpinistyczna wykorzystująca i przystosowująca techniki i sprzęt alpinistyczny do specyfiki tego rodzaju prac.

W tego rodzaju pracach wykorzystywana jest:

- ❖ uprzęż biodrowo-pośladkowa, biodrowo-udowa lub biodrowo-piersiowa - typu Troll (rzadziej używana ze względu na utrudnioną swobodę ruchów). Uprzęże te różnią się od alpinistycznych głównie szerszymi i wygodniejszymi tzw. „dupowsporami” (pracownik głównie siedzi w uprząży) oraz dłuższą łąką do mocowania z liną zwiększającą manewrowość,
- ❖ liny robocze (alpinistyczne, głównie dynamiczne) - służące do wspinania się w koronę drzew i pracy na nich,
- ❖ liny hamujące - do wyhamowywania i opuszczania odcinków pni oraz większych gałęzi i konarów,
- ❖ liny sterujące - do sterowania opuszczanych odcinków drzewa, ukierunkowania usuwanych całych drzew,
- ❖ liny pomocnicze - do wyciągania na stanowisko pracy i opuszczania na ziemię sprzętu i narzędzi,
- ❖ linki obwiązujące lub taśmy - służące do zabezpieczania liny hamującej,
- ❖ liny bezpieczeństwa (asekuracyjne) - niezbędny element wyposażenia pasa bezpieczeństwa i uprząży służący do bezpośredniego zabezpieczenia osoby pracującej na wysokości przed upadkiem. Lina ta jest skracana crollem,
- ❖ komplet karabinków (zakrećanych i pomocniczych).

Ponadto pracujący powinien wyposażony być w odpowiednią odzież ochronną, obuwie skórzane, rękawiczki oraz kask w jaskrawym kolorze. Technika wychodzenia na drzewo polega na prusikowaniu się do kolejnych gałęzi, aż do osiągnięcia wierzchołka. Tam instalowana jest baza, z której pracownik opuszczając się na prusiku wykonuje wszystkie prace. Podczas wchodzenia, przy każdym przerzucaniu liny przez gałęzie pracownik asekuje się liną bezpieczeństwa, skracaną crollem

Doświadczony pracownik w kilka minut dociera bezpiecznie na wierzchołek dwudziestokilometrowego drzewa. Kunsztu tej pracy zdolny, przyszłościowy pracownik musi uczyć się ok. 3 miesięcy w zgranej i doświadczonej brygadzie. Po roku czasu powinien znać cały wachlarz prac z zakresu chirurgii drzew, potrafi poradzić sobie w każdej sytuacji.

W warunkach ekstremalnych (w pobliżu lub nad obiektami budowlanymi, w pobliżu okien, nad liniami wysokiego napięcia, na cmentarzach) praca na wysokości wymaga dużej ostrożności i doświadczenia.

Wtedy to poszczególne gałęzie ścinane są „metodą sekcijną”, po kawałku. Zabezpieczane są linami hamującymi i kierunkowymi i opuszczane są pomału na ziemię. Również, gdy nie ma możliwości swobodnego ścięcia drzewa w całości, trzeba je ścinać małymi kawałkami i puszczać na ziemię. Wtedy to ścięcie jednego drzewa może trwać cały dzień.

Od kilku lat organizowane są światowe zawody we wspinaniu się i w pracach na drzewach, w których biorą również udział najlepsze firmy z Polski.

Niektóre z prac można wykonać z podnośnika. Jednakże może być on wykorzystany tylko w pracach przy drogach, w miejscach, gdzie możliwy jest dojazd, ustawienie i praca podnośnika.

Ponadto z kosza można sięgnąć tylko peryferyjnych części korony (niepełny zakres prac pielęgnacyjnych). Ramię i kosz uszkadza gałęzie i konary, obdzierając żywe tkanki drzewa, co jest niedopuszczalne w pracach w starodrzewach, obiektach zabytkowych, pomnikach przyrody.

Z tych względów metoda alpinistyczna wyparła podnośnik z prac pielęgnacyjnych, znalazła szerokie zastosowanie i jest powszechnie używana.

Zastosowanie metody alpinistycznej w pracach na drzewach:

- ❖ w starodrzewach, parkach miejskich, cmentarzach, parkach podworskich, obiektach zabytkowych wpisanych do rejestru zabytków,
- ❖ okazałych objętych ochroną prawną jako pomniki przyrody ożywionej,
- ❖ rosnących w pasach przydrożnych i przy liniach kolejowych,
- ❖ rosnących na wałach i międzywałach wałów przeciwpowodziowych oraz w korytach rzek,
- ❖ zieleni miejskiej, na drzewach będących w kolizji z obiektami budowlanymi, liniami telefonicznymi i wysokiego napięcia oraz zagrażających bezpieczeństwu ludzi i mienia oraz bezpieczeństwu żeglugi,
- ❖ w pracach leśnych, związanych głównie z pozyskaniem szyszek na nasiona z drzew iglastych,
- ❖ sporadycznie na drzewach owocowych,
- ❖ w sytuacjach awaryjnych (klęski żywiołowe: powódzie, wichury- usuwanie wiatrołomów i wiatrowałów.

Dokładne wykonywanie prac wymaga dużego kunsztu, znajomości zagadnień z dziedziny dendrologii, odporności psychicznej, zależy również od indywidualnych predyspozycji i umiejętności.



Ścinka topól włoskich metodą sekcijną.
fot. archiwum

Trzeba pamiętać, że pracownik zawieszony wysoko w niestabilnej, narażonej na podmuchy wiatru koronie drzewa, stojąc na cienkich gałęziach, w trudnych nieraz pozycjach musi wykonać wszystkie czynności związane z pielęgnacją i ochroną drzew tj.:

- ❖ włączanie i wyłączanie pilarki, praca pilarką,
- ❖ praca tyczką z zamocowaną piłą tzw. „lisi ogon” (strącanie suchych gałęzi, obcinanie cienkich gałęzi, przekładanie liny roboczej),
- ❖ zabezpieczanie ran po ściętych gałęziach przed infekcją grzybową,
- ❖ leczenie uszkodzeń, ran i ubytków (wybieranie martwej tkanki drzewnej, wyrównywanie powierzchni różnego rodzaju skrobakami, natrysk środków zabezpieczających i impregnujących),
- ❖ montowanie wzmocnień mechanicznych (podpory, odciąg, podwieszenia, wiązania elastyczne, wiązania sztywne zapobiegające wyłamaniu, rozłamaniu, poprawiające statykę drzewa).

Do prac na drzewach nie wolno zatrudniać ludzi nie przeszkolonych, dorywczo (w tym też alpinistów). Brak znajomości gatunków drzew i dostosowania terminów i zakresu prac do odpowiednich warunków, nieumiejętna praca sprzętem (głównie pilarką), zły wybór miejsc, kątów i powierzchni cięć może doprowadzić do zniszczenia i obumarcia drzewa, co pociąga za sobą bardzo wysokie koszty związane z ustawowymi karami.

Metodą alpinistyczną leczono m.in. dęby rogałińskie ze słynnym dębem „Bartkiem”, w naszym województwie m.in. aleję lipową w Lubszy, grupowy pomnik przyrody w Bierdzanach, dęby na plantach w Koźlu, starodrzew parku w Mosznie, olszę czarną w Kluczborku (jedną z najstarszych w Polsce).

Irek Hebda



Wilk × małpa = yeti

– Przy całym szacunku dla wspinaczy ich kwalifikacje jako tropicieli są raczej wątpliwe. Nie wspominając o złudzeniu optycznym, toczący się po pochyłości kamień czy odłam lodu mógł pozostawić znacznie dziwniejsze ślady od tych, o których się tyle teraz mówi - takie i inne próby wyjaśnienia kto, lub co pozostawia w himalajskich śniegach przedziwne tropy nie wyjaśniły niczego. Przeciwnie zawiąły sprawę jeszcze bardziej.

Niedługo po tym jak E. Shipton opublikował w 1951 roku swoje sensacyjne zdjęcia, zoolog W. Tschernsky z Queen Mary College w Londynie stworzył na ich podstawie rekonstrukcję stopy yeti, czy cokolwiek to było.

Pięć palców. Pierwszy wewnętrzny - największy, bardzo szeroki i odsunięty od reszty, drugi najdłuższy i podobnie jak poprzedni również mocno odsunięty od pozostałych. Szerokość stopy ok. 19 cm, długość 32 cm. Ponieważ wszystkie tropy sfotografowane przez Shiptona były identyczne można założyć, iż pozostała jest istota dwunożna. Wzrost jej określono w przybliżeniu na ok. 240 cm. Tychże mniej więcej rozmiarów były stworzenia, których opis zamieścił brytyjski "Daily Mail" na krótko zanim, zorganizowana przez tenże dziennik wyprawa ruszyła w Himalaje.

Giganci i karły

Rzecz miała wydarzyć się na początku lat czterdziestych na pograniczu Sikkim i Buthanu. Grupa pięciu himalaistów - nie wymienionych z imienia - dostrzegła na tle śniegu, w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi dolinie, dwie czarne sylwetki. Ponieważ kończyły się zapasy żywności uznali, że nieznanymi są szansą na ich uzupełnienie. Swoją pomyłkę dostrzegli dopiero, gdy dystans skurczył się do kilkadziesiątu metrów. Ci, których wzięli za wspinaczy, wcale nimi nie byli. Właściwie nie wiadomo kim, albo raczej czym byli. Ludzi w każdym razie, co najwyżej przypominali. Obaj liczyli po 2,5m wzrostu, trzymali się prosto i zbudowani byli stosownie do rozmiarów, znaczy monsturalnie. Potężnie sklepione piersi, sekaty długie ramiona z dłońmi sięgającymi nieco poniżej kolan. Nogi krótkie mocne. Przechadzali się na golasa i choć mroz trzymał tęgi, nie wyglądali na zmarzniętych. Pewnie dlatego, że izolację zapewniał im krótki ale zdawało się gęsty włos, porastający całe ciała. Twarze nieowłosione lub tylko słabo owłosione, wydawały się żółtawe, uszy drobne mocno przylegające do czaszek. Olbrzymy zdawały sobie sprawę z obecności obserwatorów ale nie robiły wrażenia speszonych. Przez bite dwie godziny, szwendały się w tę i z powrotem, nie robiąc nic ponadto. Poruszały się wyłącznie pionowo. Sposobu lokomocji nie zmieniły ani razu. Żaden znany nauce ssak, nie potrafi tak długo poruszać się na dwóch nogach.

Mimo, że czas naglił, a kudłaczce zamykały najlepsze przejście, mimo że proporcja była jak dwa do pięciu, mimo, że wspinacze byli uzbrojeni w noże i siekiery, mimo tego wszystkiego uznali, iż nierozsądne byłoby zakłócanie sjęsty gigantów. W końcu odeszli, kontentując się trudniejszą trasą.

Tropy sfotografowane przez Shiptona trzydzieści lat po opisanych wydarzeniach, mogły należeć do monstrów podobnych do tych, obserwowanych na pograniczu Sikkim i Buthanu.

Nie wszystkie jednak relacje mówią o olbrzymach. Bardzo często yeti przybiera w nich postać włochatego gнома, postury niskiego mężczyzny.

O takiej właśnie kieszonkowej wersji opowiadał Tensing Norkey i wielu innych. Do nich również należeć mogły tropy widziane w 1925 roku w Sikkim (Himalaje) przez N. A. Tombazi'ego uczestnika wyprawy Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie.

Odcisnięte licznie na wysokości 4500 m tropy, mierzyły zaledwie 17 cm długości i 10 cm szerokości.

W swojej nadzwyczajaj trzeźwej i powściągliwej ocenie Tombazi wykluczył, by mogły należeć do którego-

kolwiek ze znanych w Himalajach ssaków. Zasugerował również ostrożnie, iż być może pozostawił je jeden z owych "Świętych Mężów" pustelników, jakich czasami spotyka się w górach nierzadko na zdumiewająco dużych wysokościach.

Ni pies ni wydra

Prawdopodobnie autorem części zagadkowych śladów tropów przypisywanych yeti jest niedźwiedź. Tak zresztą niejednokrotnie usiłowali wyjaśniać fenomen już sami ich odkrywcy i naturalnie większość naukowców.

W Himalajach spotykane są dwa gatunki tych drapieżników: niedźwiedź brunatny i himalajski. Oba pięciopalczaste, oba też opatrzone pokaźnymi pazurami. Tylko trop podługowatej tylnej łapy, może nasunąć porównanie z ludzką stopą. Okrągłe ślady przedniej kończyny, nie nasuwają już takich skojarzeń w żaden sposób. Niedźwiedź porusza się dwunoż sporadycznie i tylko na bardzo krótkich odcinkach. To co widzimy czasami w cyrkach, jest sytuacją wymuszoną przez tresera. Podobnie zresztą stapać potrafią nie tylko one ale nawet słonie, a nikomu przecież nie przychodzi do głowy, że jest to zachowanie dla nich typowe.

W naturze ssaki unoszą się do pionu zaniepokojone, w trakcie zabawy lub gdy zamierzają dobrać się do czegoś, co jest osiągalne tylko w tej pozycji. Niedźwiedzie nie są żadnym wyjątkiem. Wielkokilometrowe marsze na tylnych łapach, w trudnym przecież terenie nie zdarzają im się nigdy a nawet gdyby, ścieżkę winny znaczący pieczęcie przednich i tylnych, różnych przecież w kształcie łap. Zakładając jednak, że jakiemś niepokomemu osobnikowi strzeliło do łba, zaprotestować przeciw uznanej na ich temat wiedzy i zmienić sposób lokomocji, nawet wtedy poza jego możliwościami pozostaje zmiana anatomi własnych stóp. Różnica pomiędzy miśkową a naszą ludzką łapą polega bowiem także i na tym, że jego wewnętrzny palec jest mniejszy a nie największy. Odwrotnie niż u nas.

Poza tym trudno wyobrazić sobie, by w śniegu nie odbiły się pazury, których niedźwiedź nie potrafi chować. Przypuszczenie, że ten element uszedł uwagi obserwatorów jest wątpliwe.

Mnich wielki jak góra

Jeszcze mniej prawdopodobna jest teza, jakoby to ostre górskie słońce roztopiało ślady wilka, do tak pokaźnych gabarytów.

Długość wilczego kroku w kłusie nie przekracza metra a rozmiar największej nawet wilczej stopy sięga co najwyżej 15 cm. Wraz z powiększeniem się tropów do wielkości rakiety tenisowej, zmniejszyłaby się także do minimum odległość pomiędzy nimi, w skrajnych wypadkach zacierając się zupełnie.

Tak więc jedyna hipoteza, którą warto wziąć jeszcze pod rozwagę to małpy. W Azji jest wiele ich gatunków ale w rejonach wysokogórskich docierają tylko bardzo nieliczne. Jednym z nich jest langur nepalski widywany podobno nawet na wysokościach powyżej 5 tys. m. Małpa w zaśmieżonym krajobrazie, to zjawisko dość szokujące, widziana z daleka może rozbudzić wyobraźnię nawet ludzi w górach bywałych. Dokładna jednak obserwacja wyklucza pomyłkę. Przede wszystkim langur jest zwierzęciem ogoniastym. Osiąga w praktyce ok. 150 cm. ale na baczność. Postawę tę jednak przyjmuje okazjonalnie, jest jak wszyscy jego bliżsi i dalsi krewniacy "czwororeczny". Zapewne zdarzało się również i tak, że Europejczycy rozgorączkowani mrocznymi opowieściami Sierpów, jego właśnie ślady brali za dowód obecności himalajskich potworów. Z pewnością jednak tego tłumaczenia, nie można uznać za satysfakcjonujące we wszystkich przypadkach. Świeży trop stopy langura jest bowiem znacznie drobniejszy - w porównaniu 23 cm - a powiększony przez słońce przypomina jednopalczałą rękawicę, z mocno odstającym od reszty palców długim kciukiem. Przy najlepszej nawet woli, nie można uznać go za identyczne z tymi na zdjęciach Shiptona.

Pozostają jeszcze "Święci Mężowie". Być może, to jeden z nich pozostawił, ślady które tak zaintrygowały Tombazie 'go. Cóż jednak począć z wiarygodnymi relacjami o tropach dwu, a nawet trzykrotnie większych. Wielki jak góra tybetański mnich ganiający na bosaka po himalajskich lodowcach jest postacią co najmniej tak niesamowitą jak yeti.

W 1953 w Kathmandu wyładowała wyprawa zorganizowana przez brytyjski dziennik "Daily Mail". Wydawało się, że tajemnica yeti jest zaldwie o krok od rozwiązania ale o tym przy kolejnej okazji.

Imprezy turystyczne, wycieczki krajowe
i zagraniczne
Wycieczki ALPY Austria, Włochy,
Szwajcaria, Francja
Turystyka kwalifikowana
Wyjazdy na narty
Zniżka dla młodzieży z kartą EURO-26

SKLEP SPORTOWY

Sprzęt wspinaczkowy:

● PETZL

- SIMPLE (ROLKA)
- SHUNT
- ASCESION (MAŁPA)
- BASIC
- CROLL
- HUIT (ÓSEMKA)
- KARABINKI ZAKRĘCANE

■ MAMMUT

- TAŚMY DO EKSPRESÓW
- KOMPLETNE EKSPRESY
- UPRZEŻE

■ RIVORY

- REPY
- TAŚMY

● CASSIN

- KARABINKI ZAKRĘCANE
- ÓSEMKI

■ ORAZ INNE

- CZEKANY
- RAKI
- CZOŁÓWKI
- EPI GAS (GAZY TURYSTYCZNE)
- PŁYTKA STICHTA



BIURO PODRÓŻY SKLEP SPORTOWY

45-018 Opole, ul. Krakowska 53

tel. (077) 54-60-52

tel./fax (077) 54-60-63

TURSPO - TURSPO - TURSPO
5% RABATU
przy zakupach z tym kuponem



www.kwopole.pl

BIURO TURYSTYKI

PTTK

Wycieczki zagraniczne autokarowe
Praga, Wiedeń i inne, objazdowe
Włochy, Hiszpania, Francja
i wiele innych.

Wczasy krajowe i zagraniczne
z dojazdem własnym, autokarem,
samolotem. Morze i góry w Polsce,
Grecja, Chorwacja, Egipt, Majorka
oraz wiele innych krajów i zakątków
na mapie świata.

Sanatoria, obozy młodzieżowe,
kolonie, spływy kajakowe.

Oferta wyjazdów dla szkół
i zakładów pracy w kraju
i za granicą.

Wczasy, pobyty weekendowe
w naszym Ośrodku w Turawie.
Obiekt całoroczny, po kapitalnym
remontcie, wysmienita kuchnia,
miła, kameralna atmosfera.
Zniżki dla członków PTTK.

Bilety autobusowe - cała Europa.

Ubezpieczenia turystyczne.

Sprzedaż wydawnictw
turystycznych - mapy,
przewodniki, albumy.

Oddział Opole

ul. Krakowska 15/17
45-018 OPOLE
tel. 542-111, 545-113
fax 538-979

Zapraszamy!



www.kwopole.pl